Powieść autorki *Zdążyć przed zmrokiem* i *Ściany sekretów*

AN EDGAR© AWARD WINNER

KSIĄŻKA ZDOBYWCZYNI

LUSTRZANE ODBICIE

TANA FRENCH

PROLOG

Bywają noce, gdy śpię sama, ciągle jeszcze śni mi się Whitethorn House. Zawsze jest wiosna, delikatne chłodne światło z przedwieczorną mgiełką. Wchodzę po wytartych kamiennych schodach, pukam do drzwi wielką mosiężną kołatką, która czernieje z wiekiem, tak ciężką, że człowiek podskakuje zaskoczony i wpuszcza mnie do środka stara kobieta w fartuchu, o wyrazistej, surowej twarzy. Zawiesza sobie wielki, zardzewiały klucz u pasa i odchodzi podjazdem pod opadającymi kwiatami wiśni, a ja zamykam drzwi.

Dom zawsze jest pusty. Sypialnie są jasne, bez mebli, moje kroki odbijają się od desek echami, które wzlatują koliście przez rozsłonecznioną przestrzeń i kłęby kurzu ku wysokim sufitom. Czuć zapach dzikich hiacyntów, wpadający przez szeroko otwarte okna, i pasty do podłóg na pszczelim wosku. Z framug okien odpryskują płatki białej farby, nad parapetem faluje wąs bluszczu. Na zewnątrz leniwie pokrzykują turkawki.

Pianino w salonie jest otwarte, drewniany blask drewna orzechowego jarzy się w pasmach słońca zbyt jasno, aby dało się patrzeć, bryza porusza pożółkłe nuty, jakby przesuwał je palec. Stół jest zastawiony dla nas pięcioma nakryciami – migoczą tace z angielskiej porcelany i kieliszki do wina na długich nóżkach, z kryształowej misy zwisa świeżo cięte kapryfolium – ale srebra zmatowiały, a grube serwetki z adamaszku zmarszczył kurz. Papierośnica Daniela leży przy jego miejscu u szczytu stołu, otwarta i pusta, zagubiła się w niej tylko spalona zapałka.

Gdzieś z domu, niewyraźne jak dalekie pstryknięcia palcami, dolatują dźwięki – szurnięcie stopą, szept. Niemal staje mi serce. Nie odeszli – to ja wszystko źle zrozumiałam. Tylko się chowają, ale cały czas tu są... i będą zawsze.

Podążając za odgłosami, mijam kolejne pokoje, zatrzymuję się na każdym stopniu, by posłuchać, ale ciągle się spóźniam: odpływają niczym miraże, zawsze są za drzwiami albo w górze schodów. Dwa takty chichotu, zaraz stłumionego, skrzypnięcie schodów. Zostawiam szeroko otwarte drzwi szafy, wbiegam po trzy stopnie naraz, okręcam się wokół słupka balustrady u szczytu i kątem oka dostrzegam ruch: pokryte cętkami stare lustro na końcu korytarza, a w nim odbita moja twarz, roześmiana.

1

To historia Lexie Madison, nie moja. Bardzo bym chciała opowiedzieć jedną, nie wchodząc w drugą, ale tak się nie da. Kiedyś uważałam, że własnoręcznie zszyłam nas na krawędziach i chociaż zaciągnęłam ciasno szwy, mogę je w każdej chwili spruć, teraz jednak sądzę, że od początku wszystko poszło głębiej i dalej, bardziej pod skórę. Wyrwała się, gdzie wzrok nie sięga, wymknęła spod mojej kontroli.

Tyle mojego, choć nie: zrobiłam wszystko sama. Frank zwala winę na innych, głównie na Daniela, ale, moim zdaniem, Sam w pokrętny i cudaczny sposób sądzi, że to wina Lexie. Kiedy mówię, że nie, uważnie mi się przyglądają kątem oka i zmieniają temat – Frank chyba sądzi, że dopadł mnie paskudny wariant syndromu sztokholmskiego. Czasami coś takiego zdarza się tajniakom, ale nie tym razem. Nie próbuję nikogo chronić; nie pozostał nikt do ochrony. Lexie i pozostali nigdy się nie dowiedzą, że są obwiniani, a gdyby się dowiedzieli, mieliby to gdzieś. Więcej zaufania, proszę. Rozdać mógł kto inny, ale to ja wzięłam talię ze stołu, rozegrałam każdą kartę po kolei i miałam ku temu powody.

• • •

Oto najważniejsza rzecz, którą musicie wiedzieć o Alexandrze Madison: nigdy nie istniała. Wymyśliliśmy ją z Frankiem Mackeyem, dawno temu, pewnego jasnego letniego popołudnia w jego zakurzonym gabinecie przy Harcourt Street. Chciał, żeby ktoś zinfiltrował siatkę handlarzy narkotyków działającą na University College w Dublinie.

Chciałam dostać tę robotę – może bardziej niż cokolwiek dotychczas w życiu.

Był legendą – Frank Mackey, ciągle jeszcze przed czterdziestką, a już szef tajnych operacji; jak się mówiło, najlepszy tajniak, jakiego miała Irlandia, zuchwały i nieustraszony, linoskoczek pracujący bez siatki. Zawsze. Wnikał do komórek IRA i gangów, jakby wchodził do baru na rogu. Wszyscy opowiadali mi tę samą historię: kiedy Wąż – zawodowy gangster i pierwszej klasy pojeb, który jednego z własnych ludzi załatwił kiedyś tak, że gość dostał porażenia czterokończynowego, bo nie chciał zapłacić za jego kolejkę – nabrał podejrzeń i zagroził, że wstrzeli mu w dłonie kołki, Frank, któremu na czoło nie wystąpiła nawet kropla potu, popatrzył mu w oczy i blefował dalej, aż Wąż klepnął go w plecy i na przeprosiny dał fałszywego roleksa. Frank do dziś go nosi.

Wyraźnie widzę siebie tamtego dnia: żółtodziób czystej wody, rok po zakończeniu Templemote Training College. Kilka dni wcześniej, kiedy Frank rozesłał wici, że szuka gliniarzy po college'u, którzy mogą robić za dwudziestoparolatków, nosiłam za dużą żółtą neonową kamizelkę i patrolowałam miasteczko w Sligo, w którym większość mieszkańców wygląda niepokojąco podobnie. Mając w perspektywie rozmowę z Frankiem, powinnam dygotać, ale byłam spokojna. Absolutnie. Tak bardzo chciałam dostać ten przydział, że nie było we mnie miejsca na strach czy zdenerwowanie.

Drzwi jego gabinetu były otwarte, siedział na skraju biurka. Facet w dżinsach i wyblakłym niebieskim T-shircie kartkujący moje akta osobowe. Pokoik był mały i zagracony, jakby Frank używał go głównie jako przechowalnię. Na biurku nic nie stało, nawet zdjęcie rodziny, papierzyska na półkach mieszały się z kompaktami z bluesem, brukowcami, zestawem do gry w pokera i różowym damskim swetrem, który miał jeszcze metki. Postanowiłam, że będę lubić gościa.

– Cassandra Maddox – powiedział i podniósł głowę.

– Tak jest, proszę pana. – Był średniego wzrostu, krępawy, ale wysportowany, miał szerokie ramiona i krótko ostrzyżone ciemne włosy. Spodziewałam się kogoś nijakiego, niemożliwego do opisania, może w stylu Palacza z serialu *Z Archiwum X*, ale ten gość miał kanciaste, twarde rysy, szeroko rozstawione błękitne oczy i sposób bycia, który sprawiał, że gdziekolwiek się pojawił, w powietrzu

pozostawały smugi cieplne. Nie był w moim typie, ale na pewno przyciągał uwagę kobiet.

– Frank. „Proszę pana” to dla gryzipiórków. – Mówił z akcentem ze starego centrum Dublina, delikatnym, ale używanym umyślnie, niczym wyzwanie. Zsunął się z biurka i wyciągnął dłoń.

– Cassie – odparłam i ją uścisnęłam.

Wskazał mi krzesło i wrócił na grzędę na biurku.

– Napisali tu – postukał palcem w moją teczkę – że jesteś dobra, gdy działasz pod presją.

Potrzebowałam sekundy, by pojąć, o czym mowa. Kiedy w trakcie szkolenia przydzielono mnie do patrolowania jednej z paskudniejszych dzielnic Corku, uspokoiłam spanikowanego nastolatka ze schizofrenią, który groził, że poderżnie sobie gardło brzytwą dziadka. Prawie o tym zapomniałam. Nie przyszło mi do głowy, że nadaję się do tej roboty najprawdopodobniej z tego właśnie powodu.

– Mam nadzieję – odparłam.

– Masz... ile?... dwadzieścia siedem lat?

– Dwadzieścia sześć.

Promienie słońca padały na moją twarz; Frank patrzył długo, oceniał.

– Możesz uchodzić za dwudziestojednolatkę, żaden problem. Byłaś trzy lata w college’u. Gdzie?

– W Trinity. Psychologia.

Jego brwi podjechały w górę, udawał, że jest pod wrażeniem.

– O, profesjonalistka! Dlaczego nie skończyłaś?

– Pojawiła się u mnie nieznana nauce alergia na angloirlandzki akcent.

Spodobało mu się.

– UCD może wywołać u ciebie wysypkę?

– Mogę brać środki antyhistaminowe.

Frank zeskoczył z biurka i podszedł do okna. Dał znak, abym podeszła.

– W porządku. Widzisz tę dwójkę na dole?

Chodnikiem szła para. Chłopak z dziewczyną. Rozmawiali. Ona wyjęła klucze i otworzyła drzwi do mogącego wywołać depresję bloku. Weszli do środka.

– Opowiedz mi o nich – powiedział Frank. Oparł się plecami o okno, wsunął kciuki za szlufki paska i obserwował mnie.

– Studenci – zaczęłam. – Torby na książki. Wracali z zakupów – siatki z Dunne's. Jej lepiej się powodzi, miała droższą kurtkę, a on łatę na dżinsach, ale niezgodną z modą.

– Są parą? Przyjaciółmi? Współlokatorami?

– Parą. Szli bliżej siebie niż przyjaciele, pochylali bliżej głowy.

– Długo ze sobą chodzą?

Podobało mi się to – nowy sposób, w jaki pracował mój umysł.

– Od jakiegoś czasu. – Frank uniósł brew, jakby zadawał pytanie, i przez chwilę nie miałam pojęcia, skąd wiem, ale zapadka zaskoczyła. – Kiedy rozmawiali, nie patrzyli na siebie. Świeże pary cały czas na siebie patrzą; stałe nie potrzebują częstej weryfikacji.

– Mieszkają razem?

– Nie, bo on też sięgnąłby po klucze. To jej mieszkanie, ale ma przynajmniej jedną współlokatorkę. Oboje popatrzyli w okno. Sprawdzali, czy firanki są odsunięte.

– Jak wygląda ich związek?

– Dobrze. Doprowadziła go do śmiechu, a faceci zazwyczaj nie śmieją się z dowcipów dziewczyn, chyba że w fazie podrywu. On niósł obie torby, ona przytrzymała mu drzwi. Dbają o siebie.

Frank kiwnął głową.

– Dobra robota. Tajne operacje to w połowie intuicja, ale nie mam na myśli idiotyzmów z jasnowidzeniem. Mówię o dostrzeganiu szczegółów i ich analizowaniu, zanim człowiek sobie uświadomi, że to robi. Reszta to szybkość i jaja. Jeśli masz coś zrobić albo powiedzieć, robisz to szybko i z przekonaniem. Zrobisz przerwę na zastanowienie, masz przesrane, możesz nawet zginąć. Przez przyszły rok lub dwa lata będziesz często nieosiągalna. Masz rodzinę?

– Ciotkę i wuja.

– Chłopaka?

– Też.

– Będziesz się mogła z nimi kontaktować, ale oni z tobą nie. Pogodzą się z tym?

– Będą musieli.

Frank cały czas stał wygodnie oparty o ramę okna, ale dostrzegłam błysk błękitu – uważnie mnie obserwował.

– Nie mówimy o kolumbijskim kartelu, głównie będziesz miała do czynienia z ludźmi z samego dołu, przynajmniej na początek, ale

musisz mieć świadomość, że ta robota nie jest bezpieczna. Połowa tych ludzi przez większość czasu ma namącone w mózgu jak w kiblu, a druga bardzo poważnie podchodzi do tego, co robi, co oznacza, że nikt nie będzie miał problemu z akceptacją pomysłu, by cię zabić. Denerwuje cię to?

– Nie – odparłam zgodnie z prawdą. – Wcale nie.

– Cudownie. W takim razie chodźmy po kawę i zabierajmy się do roboty.

Zajęło mi minutę, aby pojąć, że to wszystko: jestem przyjęta. Spodziewałam się trzygodzinnego wywiadu i sterty pokrętnych testów z atramentowymi plamami i pytaniami dotyczącymi matki, ale Frank tak nie pracuje. Do dziś nie wiem, kiedy podjął decyzję. Długo czekałam na odpowiedni moment, aby zapytać, teraz nie jestem jednak pewna, czy chcę wiedzieć, co we mnie dostrzegł, co powiedziało mu, że będę dobra.

Przynieśliśmy sobie z kantyny śmierdzącą spalenizną kawę i paczkę czekoladowych herbatników i resztę dnia spędziliśmy na wymyślaniu Alexandry Madison. Ja wymyśliłam nazwisko i imię. „W ten sposób lepiej je zapamiętasz", uznał Frank. Madison, ponieważ brzmi wystarczająco podobnie do mojego, więc mogłam się odwracać, gdyby ktoś zawołał tak bądź tak, a Lexie, ponieważ w dzieciństwie było to imię mojej wyimaginowanej siostry. Frank wziął wielki arkusz papieru i narysował oś czasu życia Alexandry.

– Urodziłaś się pierwszego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku w szpitalu Holles Street. Ojciec Sean Madison, dyplomata niższej rangi, oddelegowany do Kanady. Dzięki temu w razie czego będziemy mogli cię wyciągnąć: nagła sytuacja rodzinna i znikasz. Oznacza to też, że mogłaś w dzieciństwie dużo podróżować... to na wypadek, gdyby ktoś pytał, dlaczego nikt cię nie zna.

Irlandia jest mała i do szkoły chodziło się z dziewczyną kuzyna każdego poznanego faceta.

– Moglibyśmy zrobić cię Kanadyjką, ale chyba nie chcesz się pieprzyć z tym ich akcentem. Matka, Caroline Kelly Madison. Pracowała?

– Jest pielęgniarką.

– Ostrożnie. Myśl szybciej, kalkuluj, co może z czego wyniknąć.

Pielęgniarki w każdym kraju potrzebują nowego zezwolenia na wykonywanie zawodu. Jest po szkole, ale zrezygnowała z pracy, kiedy miałaś siedem lat i wasza rodzina wyjechała z Irlandii. Chcesz mieć braci albo siostry?

– Jasne, czemu nie? Wezmę sobie brata.

Było w tym coś odurzającego. Cały czas chciało mi się śmiać z przyprawiającej o zawrót głowy wolności, z której można czerpać garściami: krewni, kraje i warianty, rozłożone przede mną szerokim wachlarzem, z którego mogę wybierać, co dusza zapragnie. Mogłam dorastać w pałacu w Bhutanie z siedemnastoma braćmi i siostrami i osobistym szoferem. Zanim Frank zdążył zauważyć, że się uśmiecham, i pomyśleć, że nie podchodzę do sprawy poważnie, wsunęłam sobie do ust kolejny herbatnik.

– Wszystko, czegokolwiek życzy sobie twoje serce. Jest sześć lat młodszy, więc siedzi z rodzicami w Kanadzie. Imię?

– Stephen. – Wyimaginowany brat. Jako dziecko miałam bardzo żywą wyobraźnię.

– Jesteś z nim w dobrych układach? Jaki jest? Szybciej! – ponaglił Frank, kiedy wzięłam oddech.

– Drobny cwaniaczek. Ma świra na punkcie futbolu. Stale kłóci się z rodzicami, jak to piętnastolatek, ale ze mną rozmawia...

Słońce skośnymi pasami cięło poharatany blat biurka. Frank pachniał czystością, mydłem i skórą. Był dobrym nauczycielem, wspaniałym; jego czarny długopis zapisywał daty, miejsca i zdarzenia i Lexie Madison klarowała się z niebytu jak polaroidowe zdjęcie, wypływała z kartki i zawisała niczym dym z kadzidła, dziewczyna o mojej twarzy i życiu z na wpół zapomnianego snu. Kiedy miałaś pierwszego chłopaka? Gdzie wtedy mieszkaliście? Jak miał na imię? Kto kogo rzucił? Dlaczego? Frank znalazł popielniczkę i wystukał mi ze swojej paczki playersa. Kiedy pasy światła zsunęły się z biurka i niebo za oknami zaczęło gasnąć, odwrócił krzesło oparciem do przodu, wziął z półki butelkę whisky i doprawił nasze kawy.

– Zasłużyliśmy sobie. Na zdrowie!

Zrobiliśmy z Lexie niespokojną dziewczynę: bystrą i wykształconą, całe życie dobrą duszę, ale taką, co to nie usiedzi długo w jednym miejscu. Nieco naiwną, lekko nierozważną, nazbyt gotową do opowiadania bez zastanowienia o wszystkim, o co się ją pyta.

– Jest przynętą i jeśli ma wyciągnąć spod ziemi dealerów, musi być odpowiednia – powiedział bez ogródek Frank. – Na tyle niewinna, żeby nie uznali jej za groźną, na tyle godna szacunku, aby była użyteczna, i wystarczająco zbuntowana, aby nie zastanawiali się, dlaczego chce uczestniczyć w grze.

Kiedy skończyliśmy, było ciemno.

– Dobra robota – rzucił Frank, złożył kartkę i podał mi ją. – Za dziesięć dni zaczyna się szkolenie dla detektywów, wkręcę cię tam. Jak wrócisz, trochę z tobą popracuję. Kiedy w październiku zaczną się wykłady na UCD, pójdziesz na uczelnię.

Zdjął z rogu półki skórzaną kurtkę, zgasił światło i zamknął drzwi małego, ciemnego biura. Wracałam na przystanek autobusowy olśniona, otulona magią, pływałam w centrum tajemniczego i nowego świata, w kieszeni bluzy mundurowej szeleściła mi chronologia życia Lexie Madison. Poszło tak szybko i wydawało się takie łatwe...

• • •

Nie chcę szczegółowo opisywać długiego, poplątanego łańcucha wydarzeń, które sprawiły, że przeszłam z wydziału tajnych operacji do przemocy domowej. Wersja skrócona: główny świr narkotykowy na UCD dostał paranoi i pchnął mnie nożem, wpis w aktach „zraniona na służbie" dał mi miejsce w zabójstwach. Wydział zabójstw okazał się miejscem, którego nie wytrzymała moja głowa, i odeszłam. Minęły lata, odkąd po raz ostatni myślałam o Lexie i jej krótkim życiu w cieniu. Nie należę do ludzi, którzy spoglądają za siebie – przynajmniej mocno się staram, aby do nich nie należeć. Było minęło. Minęło i udawanie, że jest inaczej, to marnowanie czasu, teraz jednak wiem, a właściwie zawsze wiedziałam, że powołanie do życia Lexie Madison będzie miało konsekwencje. Nie można stworzyć osoby, istoty ludzkiej, która kiedyś całowała się po raz pierwszy, ma poczucie humoru i ulubioną kanapkę, a potem oczekiwać, że kiedy przestanie służyć twoim celom, rozpuści się i zamieni w pospiesznie bazgrane notatki oraz doprawianą whisky kawę. Chyba zawsze wiedziałam, że któregoś dnia wróci, aby mnie odnaleźć.

Zajęło jej to cztery lata. Moment wybrała starannie. Kiedy zapukała, był kwietniowy poranek, kilka miesięcy po moim odejściu z zabójstw; na strzelnicy.

Strzelnica, z której korzystamy, znajduje się pod ziemią w centrum miasta, głęboko ukryta pod połową samochodów Dublina i grubą warstwą smogu. Nie musiałam tam być – zawsze dobrze strzelałam, a do następnego sprawdzianu miałam jeszcze wiele miesięcy – ostatnio jednak budziłam się za wcześnie, by iść do pracy, i byłam zbyt nakręcona, żeby robić cokolwiek, a okazało się, że strzelanie usuwa rozdygotanie. Nie spieszyłam się z nakładaniem nauszników i powoli sprawdzałam broń, czekałam, aż wszyscy skoncentrują się na swoich celach, żeby podczas pierwszych strzałów nie widzieli, jak podryguję z nerwów niczym porażona prądem komiksowa postać. Jeśli ktoś robi się strachliwy jak mysz, zaczyna kompensować to specyficznym zestawem umiejętności: wypracowuje subtelne sztuczki pozwalające kluczyć wokół problemu, mające sprawić, żeby nikt nic nie zauważył. Jeśli człowiek szybko się uczy, wkrótce udaje mu się przetrwać dzień, i wygląda niemal jak normalna ludzka istota.

Nigdy tak nie robiłam. Zawsze uważałam, że nerwy to coś dla bohaterek powieści Jane Austen i piszczących jak kocięta panienek, które nigdy nie płacą za drinki. W sytuacji kryzysowej nie zaczęłabym dygotać, tak samo jak nigdy nie wpadłabym na pomysł, aby nosić w torebce sole trzeźwiące. Cios nożem zadany przez Demona Narkotyków UCD nawet mnie nie speszył. Nasz psychiatra przez wiele tygodni próbował mnie przekonać, że przeżyłam głęboką traumę, w końcu musiał się jednak poddać i przyznać, że nic mi nie jest (trochę chyba ze smutkiem; nie ma zbyt wielu dźgniętych nożem policjantów, którymi mógłby się pobawić, i podejrzewam, że miał nadzieję odkryć we mnie jakiś wyszukany kompleks), i pozwolił mi wracać do pracy.

To krępujące, ale nie złamało mnie ani spektakularne masowe morderstwo, ani wzięcie zakładników, które zakończyło się nie tak jak trzeba, ani miły, spokojny facet z kolekcją ludzkich narządów w plastikowych pojemnikach. Moja ostatnia sprawa w wydziale zabójstw była prosta, podobna do dziesiątek innych, nic w niej nas nie ostrzegło: letniego poranka znaleziono martwą dziewczynkę, a kiedy zadzwoniono, ja i mój partner wałkoniliśmy się w sali ogólnej wydziału. Patrząc z zewnątrz, wszystko poszło jak należy. Oficjalnie w niecały miesiąc rozwiązaliśmy sprawę, społeczeństwo zostało ocalone przed złoczyńcą, w mediach i statystykach na koniec roku

wszystko wyglądało cacy. Nie było dramatycznej pogoni samochodowej, strzelaniny, niczego w tym stylu; najgorzej wyszłam na tym ja, w każdym razie fizycznie, choć wszystko, co zarobiłam, to parę zadrapań na twarzy. Nawet blizny po nich nie zostały. Szczęśliwe zakończenie, wszyscy zadowoleni.

Co innego pod powierzchnią. Operacja Westalka: rzuć tę nazwę komuś z wydziału zabójstw, nawet teraz, nawet komuś, kto nie zna całej historii, a natychmiast spiorunuje cię wzrokiem, dłonie i brwi powędrują mu znacząco w górę na dowód, że dystansuje się od generalnego popierdolenia i szkód, jakie odniosła ludność cywilna wskutek działań policji. Przegraliśmy w każdym liczącym się aspekcie, i to wysoko. Niektórzy ludzie są jak małe Czarnobyle, migoczą od cichej, rozprzestrzeniającej się trucizny. Dostań się w ich pobliże, a każdy twój oddech zacznie cię niszczyć od środka. Niektóre przypadki – zapytaj dowolnego glinę – są złośliwe i nieuleczalne, pożrą i zniszczą wszystko w pobliżu.

Dostałam objawów, które sprawiłyby, że psychiatra z radości zatupałby nóżkami w skórzanych sandałkach, na szczęście nikomu nie przyszło do głowy posyłać mnie do psychiatry z powodu podrapanej gęby. Miałam zespół traumy w książkowym wydaniu: dygot, zero jedzenia, skok pod sufit przy każdym dzwonku do drzwi albo telefonie, z kilkoma zindywidualizowanymi ozdobnikami. Śmiesznie zaczęła mi pracować koordynacja: po raz pierwszy w życiu potykałam się o własne stopy, obijałam o framugi, stukałam głową w szafki. Przestałam śnić. Przedtem zawsze śniłam szerokimi, dzikimi strumieniami obrazów, kolumny ognia wirowały wokół ciemnych gór, bluszcz gwałtownie rozsadzał masywne cegły, oplecione sznurami świateł jelenie pędziły wielkimi susami po plaży w Sandymount, a potem miałam ciężki czarny sen, który ogarniał mnie w tej samej sekundzie, w której przykładałam głowę do poduszki, jakby ktoś walił mnie pałką. Sam – mój chłopak, choć pogląd ten czasami nie bardzo mieścił mi się w głowie – twierdził, żeby zostawić sprawę swojemu biegowi, to z czasem wszystko ustąpi. Kiedy mówiłam mu, że nie jestem tego zbyt pewna, kiwał ugodowo głową i twierdził, że to też ustąpi. Od czasu do czasu Sam mnie wkurzał.

Zastanawiałam się nad tradycyjnym policyjnym rozwiązaniem: gorzała, wcześnie i często, ale bałam się, że skończy się to dzwonieniem

o trzeciej nad ranem do nieodpowiednich ludzi, aby się im wywnętrzać, poza tym odkryłam, że trening strzelecki znieczula mnie niemal tak samo dobrze, na dodatek bez popapranych skutków ubocznych. Biorąc pod uwagę, jak ogólnie reagowałam na głośne dźwięki, trudno było znaleźć w tym sens, ale cóż... Po kilku pierwszych strzałach w tyle głowy wywalał mi bezpiecznik, świat znikał niewyraźny w oddali, dłonie zaciskały się pewnie i nieruchomo na broni i pozostawałam tylko ja, papierowa tarcza, mocny i znajomy zapach prochu w powietrzu i moje plecy usztywnione jak deska, bym oparła się odrzutowi. Wychodziłam ze strzelnicy spokojna i otępiała jak po valium. Nim efekt mijał, było już po dniu pracy i mogłam obijać sobie głowę o ostre rogi we własnym domu. Doszłam do punktu, że z trzydziestu pięciu metrów trafiałam dziewięć na dziesięć w czarne, a pomarszczony facio, który prowadził strzelnicę, zaczął przyglądać mi się okiem trenera koni i stękać o mistrzostwach wydziału.

Tego dnia skończyłam około siódmej rano. Kiedy zadzwonił mój telefon, byłam w szatni, czyściłam broń i próbowałam zamienić parę słów z dwoma kolesiami z obyczajówki, tak aby nie odnieśli wrażenia, że chcę iść na śniadanie.

– Jezu – powiedział jeden z chłopaków. – Jesteś w PD, prawda? Kto ma o tej porze energię, żeby lać swoją babę?

– Na to, co naprawdę ważne, zawsze znajdzie się czas – odparłam i wyciągnęłam z kieszeni kluczyk do szafki.

– Może dzwonią ci od czarnych operacji – rzucił młodszy, szczerząc zęby w idiotycznym uśmiechu. – Szukają strzelców wyborowych. – Był wysoki, rudy i wydawało mu się, że jestem słodziutka. Napiął mięśnie tak, aby optymalnie podkreślały sylwetkę, i przyłapałam go na tym, że sprawdza, czy mam coś na serdecznym palcu.

– Musieli słyszeć, że jesteśmy zajęci – powiedział starszy.

Wyjęłam telefon z szafki. Na ekranie widniała informacja: SAM O'NEILL, a w rogu migotała na mnie ikona nieodebranego połączenia.

– Cześć – powiedziałam. – Co się dzieje?

– Cassie... – Sam dyszał i łamał mu się głos, jakby ktoś go uderzył w brzuch. – Wszystko w porządku?

Odwróciłam się plecami do kolesi z obyczajówki i schowałam do kąta.

– Wszystko gra. Dlaczego pytasz? Co się stało?

– Jezus Maria... – Wydał z siebie odgłos, jakby ktoś go złapał za gardło. – Dzwoniłem do ciebie cztery razy. Właśnie miałem posłać kogoś do twojego mieszkania, żeby się rozejrzał. Dlaczego nie odbierasz cholernego telefonu?

Nie pasowało to do Sama. Jest najdelikatniejszym facetem, jakiego spotkałam w życiu.

– Jestem na strzelnicy. Telefon był w szafce. Co się stało?

– Przepraszam. Nie chciałem... przepraszam. – Znowu wydał z siebie ten cichy ostry odgłos. – Wezwano mnie. Do sprawy.

Moje serce skoczyło i uderzyło w żebra jak piłka. Sam pracuje w wydziale zabójstw. Prawdopodobnie należało usiąść, ale nie mogłam zmusić kolan do zgięcia. Oparłam się o szafki.

– Kto?

– Słucham? Nie... Boże, to nie... znaczy nikt, kogo znamy. A przynajmniej tak mi się wydaje. Mogłabyś tu przyjechać?

Odzyskałam oddech.

– Sam, co, do cholery, się dzieje?

– Chodzi tylko o to... Mogłabyś przyjechać? Jesteśmy w Wicklow, kawałek od Glenskehy. Wiesz, gdzie to jest, tak? Jeśli będziesz kierowała się znakami, przejedź przez Glenskehy i jedź dalej na południe, mniej więcej po kilometrze będzie w prawo odchodzić ścieżka – zobaczysz taśmę policyjną. Tam się spotkamy.

Chłopcy z obyczajówki zaczynali przyglądać mi się z zainteresowaniem.

– Moja zmiana zaczyna się za godzinę – powiedziałam. – Sam przyjazd tyle mi zajmie.

– Zgłoszę sprawę. Powiem PD, że cię potrzebujemy.

– Nic z tego. Nie pracuję już w wydziale zabójstw. Jeśli to morderstwo, nie ma ze mną nic wspólnego.

W słuchawce gdzieś w tle rozległ się męski głos: zdecydowany, przeciągający w przyjemny sposób zgłoski, trudny do zignorowania; skądś mi znany, choć nie umiałam określić skąd.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Sam.

Wcisnęłam telefon między ucho a bark i dalej składałam broń. Jeżeli nie chodziło o kogoś, kogo znaliśmy, to skoro Sam zaczął tak mówić, jak mówił, musiało stać się coś poważnego, bardzo poważnego. Irlandzkie zabójstwa są w dalszym ciągu głównie proste: bójki na tle

narkotyków, kradzieże z włamaniem, które przebiegły nie tak jak należy, zabójstwa typu P/P („partner partnera” albo – w zależności od tego, kogo pytasz – „pieprzone popapranie”), skomplikowane zatargi rodzinne w hrabstwie Limerick, które od dziesięcioleci rozpieprzają statystyki. Nigdy nie mieliśmy orgii koszmarów, jakie już zawitały do innych krajów: seryjnych zabójców, wyszukanych tortur, piwnic, wyłożonych warstwą trupów grubą jak liście na jesieni. Teraz to już tylko sprawa czasu. Od dziesięciu lat Dublin zmienia się szybciej, niż mogą sobie z tym poradzić nasze umysły. Celtycki Tygrys sprowadził do nas zbyt wielu ludzi z helikopterami i zbyt wielu nieszczęśników, stłoczonych w pełnych karaluchów mieszkaniach rodem z piekła, dużo za dużo „pracowników biurowych”, idących przez życie z odrazą do tego, co robią w oświetlanych jarzeniówkami boksach, wytrzymujących do weekendu, po czym zaczynających wszystko od nowa, i pękamy pod tego ciężarem. Pod koniec roboty w zabójstwach czułam, że coś takiego nadchodzi: czułam unoszący się w powietrzu zaśpiew szaleństwa, miasto kuliło się i wiło jak wściekły pies, aby stawić czoło demolce. Prędzej czy później gdzieś wystrzeli pierwsza sprawa rodem z horroru.

Nie mamy oficjalnych profilerów, ale chłopcy z wydziału zabójstw, którzy w większości nie chodzili do college’u i na których mój licencjat z psychologii robił większe wrażenie, niż powinien, zwykli korzystać z moich usług. Nie miałam nic przeciwko temu; żeby się podciągnąć, w wolnym czasie czytałam mnóstwo podręczników i statystyk. Gdyby Sama wezwano na miejsce zbrodni i zastałby tam coś wystarczająco złego, instynkt policjanta pokonałby jego instynkt opiekuńczy i zadzwoniłby po mnie.

– Chwileczkę! – Rudy wyłączył tryb prezentacyjny, siedząc na ławce. – Byłaś w zabójstwach?

Właśnie dlatego nie chciałam się spoufalać. W ciągu minionych miesięcy aż nazbyt często słyszałam tę pełną zapału uwagę.

– Pewnego razu – odparłam, obdarzając go najsłodszym uśmiechem, jaki mam na składzie, i spojrzeniem mówiącym: „Nie chciałbyś się tam dostać”.

Ciekawość i popęd płciowy Rudzielca odbyły ze sobą krótki pojedynek; najprawdopodobniej uznał, że szanse na zaspokojenie popędu ma małe wręcz zerowe, zwyciężyła więc ciekawość.

– To ty pracowałaś nad tą sprawą, prawda? – powiedział i przysunął się w moim kierunku. – Tej zabitej dziewczynki. Jak było naprawdę?

– Wszystkie plotki są prawdziwe – odparłam. Ze słuchawki dolatywały stłumione odgłosy kłótni, krótkie poirytowane pytania, przerywane rozciągającym zgłoski tonem, i byłam przekonana, że jeśli Rudzielec na chwilę się zamknie, określę, z kim Sam się sprzecza.

– Słyszałem, że twój partner zwariował i bzyknął podejrzaną – poinformował mnie chętny do pomocy Rudzielec.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odparłam, próbując wyplątać się z kamizelki kuloodpornej bez wypuszczenia z ręki telefonu. W pierwszym odruchu miałam ochotę – cóż za siła nawyku! – powiedzieć mu, żeby zajął się sobą, ale ani stan psychiczny mojego byłego partnera, ani jego życie uczuciowe nie były moją sprawą; przestały nią być.

Sam wrócił do rozmowy; był jeszcze bardziej napięty i roztrzęsiony.

– Mogłabyś nałożyć okulary słoneczne, kaptur, kapelusz albo coś w tym stylu?

Zamarłam z kamizelką nad głową.

– Co to ma znaczyć?

– Cassie, proszę... – Głos zabrzmiał, jakby Sam był napięty jak struna, która zaraz ma się zerwać. – Proszę...

• • •

Jeżdżę starym, rozklekotanym skuterem, zupełnym rzęchem, w mieście, gdzie człowiek jest tyle wart, ile wydaje, ale ten pojazd ma swoje dobre strony. W ruchu miejskim porusza się mniej więcej cztery razy szybciej od przeciętnego SUV-a, jest gdzie nim zaparkować i skraca drogę przejścia przez pewne rytuały społeczne, ponieważ jest dość jasne, że kto potraktuje go wywyższającym spojrzeniem, najprawdopodobniej nie zostanie moim nowym przyjacielem. Za miastem okazało się, że panują idealne warunki do jazdy na motorze. W nocy padało, w okna chlastał wściekły deszcz ze śniegiem, ale w okolicy świtu rozpogodziło się i powietrze zrobiło się tak przejrzyste, że kontury wyglądały, jakby wycięto je żyletką, a niebo pyszniło się błękitem. Pierwszy niemal wiosenny dzień. Dawnymi laty jeździłam w takie poranki na wieś i pędząc na granicy dozwolonej prędkości,

śpiewałam ile sił w płucach.

Miasteczko Glenskehy leży kawałek za Dublinem, wetknięte między pagórki Wicklow w pobliżu właściwie niczego. Pół życia mieszkałam w miasteczku Wicklow, lecz nie dotarłam bliżej Glenskehy niż do dziwacznego drogowskazu. Okazało się, że są to rozrzucone luźno domy, starzejące się wokół kościoła, do którego chadza się raz w miesiącu, pubu i sklepu ze wszystkim; miejsce tak małe i odludne, że nawet nie zwróciło uwagi przedstawicieli pokolenia tak zdesperowanego, aby przeczesywać wiochy w poszukiwaniu mieszkań, na które byłoby ich stać. O ósmej rano w czwartek główna ulica – używając obu określeń w sposób niezobowiązujący – była pusta i nadawała się idealnie na pocztówkę; tylko stara kobieta, która mijała zwietrzały granitowy pomnik ku czci tego czy tamtego, ciągnęła wózek na zakupy, za jej plecami stał szereg pochylonych domków jakby z lukrowanych migdałów, a nad wszystkim unosiły się obojętnie pokryte zielenią i brązem wzgórza. Mogłam wyobrazić sobie zabójstwo w takim miejscu, ale raczej chłopa, prowadzącego wielopokoleniową wojnę przez graniczny płot, kobiety, której mąż dostał palmy od picia i klaustrofobii, mężczyzny, który o czterdzieści lat za długo mieszkał w jednym domu z bratem: głęboko zakorzenione, znajome przestępstwa, stare jak Irlandia, nic, co mogłoby sprawić, aby głos tak doświadczonego detektywa jak Sam brzmiał tak dziwnie.

Dręczył mnie drugi głos w telefonie. Sam jest jedynym detektywem, jakiego znam, który nie ma partnera. Lubi występy solowe, pracować nad każdą sprawą z nowym zespołem – lokalnymi mundurowymi, którzy chcą, aby podał im pomocną dłoń ekspert, z parami z wydziału zabójstw, które w dużych sprawach potrzebują trzeciego człowieka. Umie się dogadać z każdym, jest idealnym człowiekiem do wsparcia i chętnie bym się dowiedziała, kogo wspierał z ludzi, z którymi kiedyś pracowałam.

Za wioską droga się zwęziła i zaczęła piąć ostrymi zakolami ku jaskrawym krzewom kolcolistu, pola zrobiły się mniejsze i bardziej skaliste. Na szczycie wzgórza stało dwóch ludzi. Sam – regulaminowo wyprostowany, solidny i napięty, na rozstawionych nogach, z dłońmi w kieszeniach marynarki, dwa metry od niego ktoś inny, z uniesioną wysoko głową, odwrócony plecami do dość silnego wiatru. Słońce wisiało nisko na niebie i długie cienie sprawiały, że sylwetki były na

tle przemykających chmur niemal za jasne, aby patrzeć, wyglądali gigantycznie i pompatycznie niczym dwaj posłańcy wychodzący ze słońca, by pójść migoczącą drogą. Z tyłu trzepotała i strzelała jak bicz taśma policyjna.

Kiedy zamachałam, Sam uniósł rękę. Drugi mężczyzna przekrzywił głowę szybkim ruchem, jakby dawał sygnał, i już wiedziałam, kto to.

– Ja pierdolę... – mruknęłam pod nosem, zanim zsiadłam ze skutera. – Frankie. Skąd się tu wziąłeś?

Frank uniósł mnie nad ziemię, obejmując jedną ręką. Minionym czterem latom nie udało się zmienić go nawet o krztynę, mogłabym się założyć, że ma na sobie tę samą sponiewieraną skórzaną kurtkę.

– Cassie Maddox... Najlepsza na świecie fałszywa studentka. Jak ci się wiodło? Co to za gadka o PD?

– Ratuję świat. Dali mi świetlisty miecz i tak dalej. – Kątem oka dostrzegłam, jak Sam marszczy ze zdziwieniem czoło. Nie mówię wiele o pracy w tajnych operacjach i nie jestem pewna, czy kiedykolwiek wymieniłam przy nim imię Franka, w każdym razie dopiero wtedy, gdy się do niego odwróciłam, dostrzegłam, że wygląda okropnie, skórę wokół ust miał bladą, a oczy nieco zbyt rozszerzone. Coś zacisnęło się we mnie, a więc jakaś poważna sprawa.

– Jak się czujesz? – spytałam i zdjęłam kask.

– Super – odparł Sam. Próbował się uśmiechnąć, ale wyszło to krzywo.

– Ohoho... – powiedział Frank pseudoteatralnie, trzymając mnie na odległość wyciągniętych rąk i uważnie mi się przyglądając. – Co tu mamy? To tak stroi się dziś dobrze ubrany detektyw? (Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, miałam na sobie bojówki i top z napisem: DOM ROZRYWKI PANNY KITTY CHCE CIEBIE!).

– Gadaj, co chcesz, Frank. Przynajmniej w ciągu kilku ostatnich lat raz albo dwa razy się przebrałam.

– Nie, nie, nie, jestem pod wrażeniem. Bardzo dyrektorskie. – Spróbował mnie obrócić, ale odtrąciłam jego rękę. Dla jasności: nie byłam ubrana jak Hillary Clinton. Miałam na sobie służbowy strój: czarną marynarkę i spodnie, białą bluzkę. Nie szalałam szczególnie za tym strojem, ale kiedy przeszłam do wydziału przemocy domowej, mój nowy komisarz bez przerwy wbijał mi do głowy, jak ważne jest prezentowanie odpowiedniego korporacyjnego wizerunku i tworzenie

zaufania publicznego, czego najwyraźniej nie da się zrobić w dżinsach i T-shircie, ja zaś nie miałam energii, aby się temu opierać. – Przyniosłaś okulary słoneczne albo kaptur? Świetnie będą się komponować z tym strojem.

– Sprowadziłeś mnie, żeby podyskutować o moim wyczuciu mody? – Znalazłam w torbie stary czerwony beret i pomachałam nim Frankowi.

– E tam, wrócimy do tego kiedy indziej. Weź te. – Frank wyciągnął z kieszeni okulary słoneczne, odrażające lustrzane coś, jakie w 1985 roku nosił Don Johnson, i podał mi.

– Jeśli mam spacerować po okolicy, wyglądając jak bęcwał, dobrze by było, żeby miało to sensowne uzasadnienie.

– Dojdziemy do tego. Jeśli okulary ci się nie podobają, włóż kask. – Frank odczekał, aż wzruszę ramionami i założę błazeńskie pingle. Podniecenie z ponownego spotkania z nim odpłynęło i znowu napinały mi się mięśnie. Sam wyglądał, jakby miał mdłości, Frank pociągał za sznurki i nie chciał, żebym obejrzała miejsce zbrodni: wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że zabito tajniaka.

– Wspaniała jak zwykle – ocenił Frank. Podniósł taśmę, żebym pod nią przeszła, i było to tak znajome, ten szybki, gładki ruch wykonywałam tyle razy, że przez ułamek sekundy miałam wrażenie, jakbym znowu znalazła się w domu. Zanim rzeczywistość wróciła, odruchowo poprawiłam broń przy pasie i spojrzałam przez ramię w poszukiwaniu partnera, jakbym szła na miejsce zdarzenia sprawy, którą poprowadzę.

– Wygląda to następująco – powiedział Sam. – Mniej więcej kwadrans po szóstej dziś rano miejscowy koleś Richard Doyle szedł tą ścieżką z psem. Spuścił go ze smyczy, żeby pobiegał sobie po polach. Niedaleko ścieżki stoi zrujnowany dom, pies wszedł do środka, nie chciał wyleźć i w końcu Doyle musiał po niego pójść. Pies węszył przy ciele kobiety. Doyle złapał go, wyciągnął na zewnątrz i zadzwonił na policję.

Odrobinę się rozluźniłam – nie znałam żadnej innej kobiety z wydziału tajnych operacji.

– A jestem tu w jakiej sprawie? – spytałam. – Pomijając spotkanie z tobą, skarbie. Przeniosłeś się do zabójstw i nikt mi o tym nie powiedział?